

## GABRIELA GORZANDT

ur. 1926; Bychawa



Miejsce i czas wydarzeń	Biłgoraj, II wojna światowa
Słowa kluczowe	pomoc Żydom, rozstrzelanie, życie w czasie okupacji

### Moi rodzice zostali rozstrzelani za pomoc Żydom

Zatrudnił [ojciec] takiego Żyda Berka. Ja nie pamiętam czy to było jego nazwisko czy imię, ale widzę go przed sobą - wysoki, podłużna twarz, włosy takie lekko falujące. Pięknie grał na skrzypcach. Zatrudnił go, żeby uczył mnie gry na skrzypcach. I przychodził na te lekcje, i płacił mu. Po to, żeby pomóc, nie tylko po to, żebym ja się uczyła, bo ojciec grał pięknie na skrzypcach. Zapłacił mu też, żeby uczył syna państwa Mieszkowskich gry na skrzypcach. Ale nie wiem, może raz, może dwa razy dał lekcje i wtedy już Żydów spędzili do getta. Tak że już potem nie mógł pomagać. Ojciec wystarał się o koncesję na skup skór surowych, którą prowadzili przed wojną Żydzi. I w tym skupie zatrudniał tych właścicieli, którzy tam kiedyś mieli ten punkt skupu. I pamiętam jak kiedyś rozmawiali rodzice i ojciec mówi, że kazali mu zwolnić. Bo to starostwo wydawało pod dyktando Niemców. Tam byli zaufani ludzie. I kazali mu zwolnić Żydów. Więc ojciec bronił, mówił, że nie ma takich fachowców wśród Polaków. I do końca, aż do spędzenia Żydów do getta, ci Żydzi tam pracowali. Pamiętam ich. Nie znam ich nazwisk, ale pamiętam. Wysocy tacy, z brodami. Tak jak to Żydzi chodzili. W każdym bądź razie kilku Żydów tam pracowało. Wtedy, kiedy Żydów spędzili do getta, to wielu chowało się, kryjówki sobie wcześniej przygotowali. Nie chcieli iść do getta, bali się śmierci. Rodzice mieli ten skup skór, to było wtedy przy ulicy 3-ego Maja. W tej chwili nie ma już tej posesji, bo tam jest ulica zrobiona. Nawet chodziłam jakieś pół roku temu sprawdzać. To PSS Społem chyba tam miało swoją masarnię, chyba ubojnię. Bo tak z boku był budynek murowany i tam właśnie była ta rzeźnia, pospolicie się mówiło. A po lewej stronie tego podwórka był taki drewniany budynek i tam był ten skup skór. Za tym się wchodziło jeszcze dalej. Pamiętam, że mama zaczęła od jakiegoś czasu nosić, gotować kaszę, duże garnki kaszy. I co wieczór wносиła z domu. I kiedyś przypadkowo podsłuchiłam niechcący rozmowę rodziców. Mama miała na imię Wiktoria. I ojciec mówił: „Wisiu, czy ty wiesz na co nas narażasz, całą rodzinę?” A mama się rozplakała i mówi: „Pawełku, ja nie mogę słuchać, jak głodne dzieci płaczą” Więc tak nie bardzo rozumiałam o co chodzi.

Miałam wtedy prawie szesnaście lat. Jeszcze nie całkiem. I tak różnie myślałam. I nieraz pomogłam zanieść, bo ojciec był chory na astmę. Więc jak była taka niepogoda, jesień, to wtedy nie wychodził tam do pracy, tylko mama chodziła. I nieraz taki gar kaszy prosiła, żeby przynieść wieczorem. Więc nieraz tam podrzuciłam. Ale nie pytałam o co chodzi. Przed 17 lutym 1943 roku dowiedziałam się, że tam gdzie nasz skup skór był, że na tej posesji znaleźli Niemcy Żydów. Dwie rodziny: Kandla i Szlafroka. I te dwie rodziny rozstrzelali na tym placu. Ja przysłam do domu taka przerażona i mówię, że tam Żydów rozstrzelali. Ale rodzice nie dali po sobie nic odczuć. Nie wiem co myśleli. W każdym bądź razie 17 lutego rano przyszli do nas gestapowcy. Byłam ubrana, nie miałam na sobie rajstop, tylko miałam skarpety i ranne pantofle. I jak przyszli, jeden został na półpiętrze, dwóch weszło na górę, zaczęli rozmawiać. A z nami mieszkała mojej mamy bratowa z trzema synami i mamy matka. One miały oddzielny pokój. I bratowa pochodziła z niemieckiej rodziny, która czuła się Polakami. I wszystko rozumiała co ci Niemcy mówią. Musiała mamie powiedzieć. Bo tak to przez tłumacza tylko prowadzili rozmowę z rodzicami. I mama przyszła do mnie i mówi: „Gabrysiu, masz pakuneczek, tak wynieś, żeby ciebie Niemcy nie złapali. Oddaj to panu Olechowskiemu” Taki przyjeżdżał do nas pan z Warszawy, Kazimierz Olechowski. Przed wojną był inspektorem szkolnym, a potem handlował. Ale czy on tylko handlował, nie mam pojęcia, bo ja za mała byłam, mnie nie wtajemniczali w to. Rodzice, żeby jakoś utrzymać się, to kupili krowę, kury, i mieliśmy co jeść. A mama chodziła w takiej kurtce do tej krowy, więc ja tą kurtkę zarzuciłam na siebie, tą paczuszkę wzięłam tak pod tą kurtkę. Wychodzę, a ten gestapowiec, czy to był z tej kryminalnej policji, to ja w tej chwili nie mogę powiedzieć, bo nie pamiętam, mówi, że nie można. Bo po polsku mi powiedział. Nie można wychodzić. A ja mówię, ja wiem, że nie można. Minęłam go, zesłam na parter, tam znów stoi. Nie można wychodzić! Ja mówię wiem, że nie można. A ponieważ na górze mnie puścili, to podejrzewam, że i ten myślał, że ja mogę wyjść. Wysłam i na parterze było biuro „Społem” Dwa pokoje zajmowali w tym naszym budynku. To budynek naprzeciwko sądu. W tej chwili tam jest tablica upamiętniająca śmierć naszej patriotki Wasilewskiej - aresztowanej, maltretowanej. „Wacek” Wasilewska, bo „Wacek” to był pseudonim. Poszłam tam i tam pracowała Marysia Kucharska, moja koleżanka. Mówię: „Marysiu, schowaj tą paczuszkę” A już widziałam, że coraz więcej gestapowców przyjeżdża, i z tej kryminalnej policji. Tak że już tam się robi gęsto na górze. To ja mówię do Marysi: „Marysiu, schowaj to. Jak się skończy rewizja u nas, to ja wrócę” Bo tak podejrzewałam, że przecież nie przyszli na pogawędkę, tylko jakąś rewizję robią. Ona schowała w drugim pokoju, w drugim biurze do szafy, a ja przez okno obserwowałam. Przyjeżdżali, przychodzili. Podjechał furgon taki. Wynosili z domu rzeczy. Widziałam, że coś nie jest dobrze. Ale coś mi mówiło, że bym nie wracała do domu. Przyszedł szef gestapo, nowy szef –Kolb, chyba takie nazwisko. On jeszcze nikogo nie znał, bo może był miesiąc, a może nawet nie miesiąc. I tak się rozejrzył. A tam była jedna, która znała niemiecki, która lubiła flirtować z Niemcami. I

on pyta: „Co tu jest?”-”iuro” Obejrzał jedno i drugie, i mówi: „Tu zaraz przyjdą też robić rewizję” I wyszedł. To ja mówię do Marysi: „Marysiu, to ja idę stąd” Pożyczyła mi pantofle, bo ja byłam w rannych ciapach takich. Po drugiej stronie ulicy, tam jest teraz blok, różne są sklepy, sąd, potem jest taki blok. I tam, mniej więcej w połowie tego bloku, był ten drewniany dom. I między innymi, bo tam były takie małe pomieszczenia, w jednym z tych pomieszczeń był sklep pani Czarneckiej. Pani Czarnecka, to była babcia tego Czarneckiego, który w tej chwili działa w Fundacji Singera. Akurat moja koleżanka w tym sklepie była. Jak przyszedłam, to mnie tam wsadziły za ladę. Koleżanki z tej grupy, w której uczyłam się, z młodszej grupy, która też się uczyła nieraz u nas, nieraz u państwa Czarneckich czy u państwa, którzy na Rynku mieli taki odbudowany spalony domek - państwa Urbańskich. Bo w różnych miejscach była ta nauka. Przyszły koleżanki, mówią: „Gabryśka, zabierają rzeczy, Gabryśka to, Gabryśka tamto” Siedziałam zszokowana, nie wiedziałam co się dzieje. Widziałam, że wywożą wszystko z domu do Gestapo. I wpada jedna z koleżanek, i mówi słuchaj, pani Piwowarska - ona mieszkała u nas na piętrze, miała tam pokój z kuchnią, a na parterze prowadziła skład apteczny, takie przed wojną były. W tej chwili nie ma takich składów aptecznych, są tylko apteki. I przyszedł Majewski, pytał gdzie ja mogę być, bo szef kazał ją aresztować. Więc przez koleżankę dała mi znać, żebym gdzieś uciekała. Gdzie ja ucieknę... Byłam przerażona. Ale nie ma to jak przyjaciele. Dziewczyny uradziły, że pożyczą mi chustkę, dały mi jakieś rajstopy, pantofle i kazały iść na Bojary, do pani Piętakowej. Pani Piętakowa miała dwie córki. Ze starszą się przyjaźniłam. Młodsza przyjaźniła się z panią Mikulską. To była taka grupa, która ze sobą była zżyta. Ci, którzy chodzili i do starszej grupy na te tajne komplety, i ci do młodszej, nieraz wyjeżdżaliśmy gdzieś razem, spotykaliśmy się czy nad rzeką czy gdzieś. Dlaczego ja wyszłam z tego biura Społem... Ta pani, która mówiła po niemiecku, miała ciągotki do Niemców, i nawet nie mówiłam gdzie idę, bo się bałam, że ona może przeskarżyć. Może ja ją podejrzewałam niesłusznie, ale taka była opinia. Jak u Państwa Piętaków się zatrzymałam, dały mi chustkę. Ubrałam się w tą chustkę, żeby nie było mnie widać. Spalenisko było od mojego domu do tego budynku gestapo. I tak na ukos, one stały na czatach, czy mogę już iść, czy nikt się tam nie kręci. I tak na ukos przeszłam aż tam, do spalonej bożnicy. I tam spotkałam, nie pamiętam, kogoś, kto mówi: „Panno Gabrysiu, rodziców pani aresztowali” Ja mówię: „Ja wiem” I poszłam na te Bojary. Tam byłam tylko jeden dzień. Nawet nie nocowałam. Dlatego, że przyszła sąsiadka, która sobie flirtowała z Niemcami. Miała taką złą reputację. Choć później okazało się, że nikogo nie wydała. Spotkały ją szykany ze strony partyzantów, ale nie wydała nikogo. I bali się, że może dać znać, wtedy cała rodzina ucierpi. Więc znów koleżanka Alina, ona teraz Buczkowska, Książek z domu. Na Zamojskiej jest taki drewniany dom i taka duża jodła czy sosna, jeszcze stoi, bo jak jeżdżę, to widzę. I tam na facjatce był taki pokój i w tym pokoju byłam przez tydzień. A potem pan profesor Adamczyk i doktor Lesiuk - oni pomogli mi wyjechać do Lublina. I pani profesor Jabłońska. Dostałam adres siostry pani

Jabłońskiej i tam u niej się zatrzymałam.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2007-01-31, Józefów Biłgorajski
<b>Rozmawiał/a</b>	Alicja Sadowy
<b>Transkrypcja</b>	Marta Tylus
<b>Redakcja</b>	Piotr Lasota
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"